

# ABC literacko-artystyczne

Staly dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III.

Niedziela 4 listopada 1934 r.

Nr. 46

Andrzej Mikułowski

## Biuletyn z pustyni

Drugi tom „Rocznika Literackiego”, wydawanego przez „Instytut Literacki” pod redakcją Z. Szwejkowskiego, ukazał się niedawno. Przedsięwzięcie, mające na celu ujęcie całokształtu rocznego dorobku naszej literatury pięknej jest poważną poezją wydawniczą i zajęcie stanowiska krytycznego w stosunku do niego jest zadaniem niełatwym. Niepodobniestem jest znać cały materiał, ujęty przez „Rocznik” i skonfrontować sąd o nim z sądem własnym. Trzeba więc raczej ograniczyć się do roli zwykłego czytelnika, obdarzonego tylko pewnym nastawieniem krytycznym. Mimo to szereg refleksyj i ogólniejszych wniosków narzuca się odrazu.

Do czego służyć ma „Rocznik”? Trudno znaleźć odpowiedź na to pytanie w tomie drugim, w którym redakcja i wydawcy milczą, a i treść sama nie ujawnia jasno, pod kątem jakich potrzeb materiał był opracowywany. Sięgamy więc do przedmowy tomu I-go. Według niej, zadaniem „Rocznika” jest „dążenie do jaknajpełniejszego notowania faktów literackich”, „danie wyrazu współczesnym tendencjom, ujawnianiem się na terenie literatury” i „ocena zjawisk literackich”. Komu „Rocznik” ma służyć? Na to pytanie przedmowa odpowiedzieć nie daje; należałoby sądzić, że współczesnym, celem zorientowania się w masie zjawisk codziennych napotykanym i wyrobienia sobie o nich ogólnego pojęcia, ale także potomnym, którzy mogliby znaleźć w „Roczniku” dokument rzeczywistości literackiej naszych czasów, w ocenie możliwie obiektywnej, choć podlegającej nieuchronnie subiektywizmowi czasu.

Rzut oka na „Rocznik” pod kątem tych potrzeb wykazuje, obok bardzo poważnych zalet, także sporo wad i usterek, które trzeba się zająć, bo wydawnictwo jest stałe i może, wzięwszy szereg zarzutów pod uwagę, poprawić się w przyszłym roku. Najpoważniejszą wadą, jak sądzę, jest wyczerpanie brak proporcji w ocenie zjawisk, który skrzywia obraz rzeczywistości, wytworzonej się w świadomości czytelnika. Wynika to przede wszystkim z zbyt lekkiego może traktowania sprawy obiektywizmu w ocenie zjawisk współczesnych: obiektywizm jest niemożliwy, więc niema co nawet się o niego starać; polegamy na kompetencji i rzetelności naszych współpracowników. Powstaje stąd pewien chaos i „Rocznik” zamienia się w cykl odcieranych feljetonów, często popadających nawet w sprzeczności w ocenie, a niedających poszukiwanego obrazu tego, co jest. Kwestia obiektywizmu jest niewątpliwie ogromnie trudna, tak jak danie syntezy w tym wypadku poprostu niemożliwe. Możliwe jest natomiast zbliżenie się jaknajwiększe do obiektywizmu i podanie faktów tak, aby u możliwie czytelnikowi samodzielnie stworzenie sobie syntez. Bardzo ważna jest tu kwestia koordynacji, głównie redakcyjnej.

Podział, dokonany w „Roczniku”, nie czyni jeszcze zagadnienia przelazym; podział na kwestie, gatunki literackie i t. p., jest zbyt konwencjonalny, by miał coś wyjaśniać. Wszyscy już mamy te szufladki w nosie i automatycznie oddzielamy lirykę od powieści, a krytykę literacką od dramatu. Podział konieczny, ale niewystarczający; przejrzystość można osiągnąć tylko przez wyraźne zestawienie hierarchii wartości. Jest to znowu trudne i może nawet w pełni nieosiągalne, ale postawienie tej nieosiągalności, jako założenia programowego, jest może niepotrzebne. Stąd powstaje sprzeczność w treści, na którą zwrócił uwagę p. W. J. w „Myśli Narodowej”. Czytelnik wstępnie napotyka rozstawione już przez krytyków „Rocznika” zdanie St. Kolaczowskiego: „Niestety, naszą dzisiejszą literaturę można podzielić na grupy barbarzyńców, prymitywów i kulturalnych dekadentów. Wspólna tym grupom jest tylko megalomania”, a dalej sądy innych krytyków, że to jest dobre, tamto świetne, a owo ma trwałą wartość—i stąd zdezorientowanie. Zależnie od swego pesymistycznego, czy optymistycznego nastawienia daje wiarę jednemu, lub

drugim sądowi. Zdarza się, że jeden krytyk sam sobie przeczy, jak to widzimy u Z. Czernego, który chwali staranność i kompetencję tłumacza, pisze dalej, że spotyka u niego „mszyce”, jako odpowiednik francuskiego „chenille”, czy „bojaźni wody” zamiast „nagietka deszczowego” (souci d'eau). Można rozumieć, że to pobrażliwość, ale mało uzasadnione i mylące. Zdarzają się sprzeczne sądy dwóch krytyków o tym samym autorze (Adameczewski w rozdziale „Dramat” i Irzykowski w rozdziale „Dramat w literaturze” o Morozowicz-Szepełkowskiej i jej „Sprawie Moniki”).

Zbyt poważny stosunek krytyków do grafomanów, a zbyt lekki do rzeczy poważnych, również wprowadza zamęt. K. W. Zawodziński uważa za stosowne traktować o każdym grafomanie, który wydał tonik „wierszy” własnym nakładem, gdzieś w Kołomyi, a dalej pisze otwarcie, że nie zapoznał się z ostatnimi utworami Żegadłowicza, bo wydawcy nie nadesłali, a poezje Miodożęca w pismach nie zachęcają do poznania jego „Gam i pejzażów”. Niebardzo chce się wierzyć w ową niedostępność książek, wydanych niedawno i nieanonimowo, a zajmować się głupstwami naprawdę nie warto. Niema potem miejsca na rzeczy poważne, co też nie jest bez znaczenia. Widzimy, że jakaś tam powieść Szolomana Asza omawiana jest na 3 stronach, a jednocześnie takie poezje, jak przekłady laureata Nobla Sinelaira Lewisa, Bertranda Russella, czy średniowiecznego moralitetu angielskiego nie są nawet wzmiankowane krytycznie. Można zrozumieć, że powieści Asza ma tu stanowić cały rozdział przekładów z literatury ży-

dowskiej, a „angliana” były tak bogate, że nie starczyło miejsca nawet na zupełnie poważne poezje, ale czytelnik nieorientujący się gołów wartościować na podstawie zainteresowania krytyka utworem. A przecież nie łatwiejszego, jak wspomnę literaturę żydowską, rumuńską, jugosłowiańską i t. p. w jeden rozdział „Różne”, a oszczędzone miejsce zużytkować na coś lepszego. Subiektywne zainteresowania krytyka również rozstrzygać dowolnie o obrazie ogólnym. Np. M. Kridl, omawiając krytykę literacką, poświęca półtorę strony nowym 2 tonikom Boya, typowo standardowej roboty, i tyleż rozprawienia się z niedziwnym „Obrazem współczesnej literatury polskiej” Czachowskiego, a zaledwie w kilkunastu wierszach zdawkowo chwali doskonałą monografię o Brzozowskim Suchodolskiego, w którego osobie pojawiła się nowa gwiazda polskiej krytyki literatury.

Programowy brak koordynacji redakcyjnej „Rocznika” sprawia, że niektórzy współpracownicy traktują swoje zadanie raczej jako „występ gościnny”, jak autorka artykułu o literaturze dla dzieci, który kończy pochwałą „Rocznika”, zbyt już „pro domo sua” wyglądając. Brak koordynacji widać też w paru niejasnościach i niekonsekwencjach układu. Dlaczego np. wydanie 2 satyr Zablockiego z rękopisu zilustrowane zostało o „wznowień literackich”? Rozdział o czasopiśmie wprowadza też podział na problemy literackie i kulturalne i zupełnie inaczej segreguje czasopisma od L. Płoszewskiego, który swój układ wprowadził w „Roczniku” pierwszym; w tekście nie widać uzasadnienia takiej zmiany

oblicza tych czasopism.

Ciekawe, że ten właśnie rozdział, zawierający zresztą bardzo wiele niezmiernie trafnych uwag i charakterystyk, ujawnia pozostałe dwie wady czy usterki „Rocznika”, które załazyłbym do najgłośniejszych: zbyt lekkie, lekceważące traktowanie przedmiotu i brak ujęcia t. zw. życia literackiego, które pozwoliłoby może najłatwiej zsyntetyzować całość. Oboje wynikają z braku wzięcia pod uwagę trwałego znaczenia „Rocznika”, jako cennego dokumentu za lat kilkanaście, albo i więcej.

Ton „Rocznika” jest żywy, feljetonowy, polemiczny często, co czyni go przyjemnym w czytaniu. Ale wszystkie te rzeczy przestają bawić szybko, a nawet mogą stać się nużące. Lekki styl W. Kubackiego, tańczącego jak Puk między czasopismami i rzucającego dowcipne charakterystyki, polemika prof. Kolaczowskiego z prof. Kridlem we wstępie, cały rozdział K. W. Zawodzińskiego, poświęcony udowodnieniu jakiegoś p. Dąbrowskiemu, że poezja a piosenka kabaretowa, to nie to samo — na przykładzie współczesnej literatury rosyjskiej, czy wreszcie wyjaśnienie, dlaczego R. Blüth nie uważa kina za sztukę, na marginesie jakiejś książki o kinie — to wszystko efemerydy, które straszą znaczenie i całą treść za lat kilka i będą się wydawały ówczesnemu czytelnikowi niepotrzebnymi i nie nieważnymi dodatkami. Trzeba myśleć o przyszłości.

Tę „futurystycznego” nastawienia nie widać również w braku socjologicznego punktu widzenia, o czym już pisał p. A. Potocki w „Pionie”. Życie literackie, owa atmosfera, która otacza literaturę i jest o-

żyweza, lub trująca, jest łatwiej uchwytna dla nas, niż dla tych, którzy będą patrzyli na literaturę w r. 1933 z perspektywy lat 20. Dlatego też „Rocznik Literacki” mógłby postarać się tę atmosferę odmalować.

Omawiając np. przekłady, wariowały powiedzieć coś o problemie przekładów ogółem: jaki wpływ wywierają, jaki procent stanowią w ogólnej liczbie wydawnictw, zwrócić uwagę na niski poziom tłumaczeń ogółem i na skandaliczne praktyki wydawców — specjalistów od przekładów (przy dokładnym przyjrzeniu się bibliografii podanej uderza fakt częstego wydawania jednej i tej samej książki kilkakrotnie pod różnymi tytułami, przy czym zawsze ma to coś wspólnego z „Wydawnictwem Współczesnym”). Te rzeczy, obrazujące nie tyle stan, ile warunki rozwoju literatury, nie są pozbawione znaczenia. To samo można powiedzieć o literaturze brukowej, od której odgródzono się wyniosłym zatrzaskiem drzwi. Oczywiście, należałoby tu zastosować specjalną metodę, nie omawiając każdej poezji osobno, jak to robi p. Zawodziński ze swymi grafomanami, ale ująć rzecz z ogólnego i raczej społecznego punktu widzenia, bo jednak rzeczy tego rodzaju mają duży wpływ na czytelnictwo, które nie jest chyba dla literatury czynnikiem mało znaczącym. Z tego samego punktu widzenia ważne są działy literackie w czasopiśmie codziennych, które przecież rozchodzą się najszerzej i urabiają opinie. Można nie należałoby mówić „pro domo sua”, ale obiektywnie każdy przyzna, że ważniejszy jest dział literacki każdego poważniejszego pisma od poematu p. Cyrklaffa

w 3 częściach, wydanego w Grudniu dla koła najbliższej rodziny autora. Pisał zresztą już o tem we wspomnianym wyżej artykule p. A. Potocki.

Wspominając jeszcze o istnieniu niemiękionych paru drobniejszych usterek, jak błędy w korekcie, brak koordynacji w stosowaniu tytułów, niewiedza według jakich zasad, brak bibliografii w niektórych rozdziałach, na tem można zamknąć czarną listę zarzutów i przejść na stronę optymistyczną.

O zaletach słów niewiele, ale mocnych. Najważniejsze w „Roczniku” jest to, że jest. Wypełnia wielką i bardzo dotkliwą lukę, jest bezcenny, jako przewodnik i doradca, a nawet jako informator. Pożyteczność jego jest rzeczą tak oczywistą, że dowodzenie jej byłoby absurdem. Poza tem taki, jaki jest: krytyczne ujęcie literatury współczesnej względnie niezależne od tej okropnej atmosfery bezpłciowego, a żydowskiego, a żydowsko-programowego w swej bezpłciowości i w swej... seksualności i skandaliczności snobizmu wiadomości-literackiego. Można rozmawiać, dyskutować, czegoś się nauczyć, z czem polemizować na płaszczyźnie uczciwej i rzeczowej. O Peiperze i Pomirowskim, o Krzywickiej i Szepełkowej nie słyszy się wcale, albo na właściwym miejscu. Można nawet postawić zarzut, że słyszy się za mało; nie można się zorientować tylko na podstawie „Rocznika”, że ta atmosfera przenika całą literaturę. Ale rzecz jest tak miła, że nie mamy za złe tego przemilczenia.

Odosobniony jest tylko jeden niemiły przypadek w rozdziale K. Irzykowskiego o dramacie w teatrze: „Postulat, żeby dramatyczność społeczna wynikała nie tyle z ilościowej walki klas, ile z konfliktów osobistych... — słusznie postawiony przez L. Pomirowskiego w „Nowej literaturze w nowej Polsce”. Czyżby to naprawdę dopiero Pomirowski? Przecież jest to kręcenie się wokół popka Pomirowskiego. Poza tem zresztą artykuł K. Irzykowskiego jest bardzo interesujący i trafny, jak zresztą większość artykułów. Najlepiej, doskonały w syntezie i w literackim ujęciu jest ten, którego celowość jest może najbardziej sporna: artykuł T. Makowieckiego o laureatach. Ale najciekawsza w „Roczniku” jest właśnie owa atmosfera, czysta i świeża, choć chwilami trochę zbyt ostro, jak na rocznik. „Rocznik” czyta się jak kwartałnik, a chwilami nawet jak tygodnik. W. Kubacki bardzo słusznie pisze o głodzie porządnego pisma literackiego. Czy zwarty zespół, jaki niewątpliwie stanowią stali współpracownicy „Rocznika”, nie potrafiliby się zdobyć na zaatakowanie współczesności piórem w formie, która im widocznie bardziej odpowiada? Takie pismo, któreby moim kłinem wbiło się w zastłą świadomość społecznego snoba, jest bardzo potrzebne.

Czy „Rocznik” spełnił swe zadanie? Można śmiało powiedzieć: zgrubsza tak. Krytykuje wady, nie można zamknąć oczu na ogromne trudności, jakie stały przed autorami. Ogromny chaos materiału, z którego trzeba zestawiać plastyczny obraz rzeczywistości uporządkowanej, pilnie uwydatniające nieliczne szczyty, wyższe wzniesienia i płaski, niski poziom przeważającej reszty — to rzecz nie tak łatwa do stworzenia.

Ta wędrówka po literaturze polskiej robi wrażenie podróży po pustyni. Nie jest to jednak imponująca rozmachem pustej przestrzeni Sahara, ale pustynia meksykańska, porośnięta kaktusami. Tem łatwiej w niej zabłądzić. Kilkunastu podróżników kazano zbadać tę pustynię. Tylko jeden stanął poprostu na skraju i rzekł: same kaktusy. Inni — z konieczności zresztą — rozeszli się po terenie, badając przez lupę każdy obiekt osobno, skrzętnie go opisując. Niekiedy dali się zwieść mirażom, biorąc kaktusy za palmy, a pustynię za ziemię żyzną. Biuletyn wyszedł obszerny. Jeżeli nie taki interesujący, to winę ponosi: przede wszystkim przedmiot.

Alfred Jesionowski

## Do Pani Ireny Krzywickiej (Liścik miast recenzji z tomu reportaży sądowych\*)

Stoję w większości wypadków na przeciwnym krańcu poglądów, jakie Pani głosi i popularyzuje. Wolę jednak mówić czy pisać o cenię, co właśnie jest przeciwne moim poglądom. Łatwiej bowiem uniknąć cieżych komentarzy, więcej jest do powiedzenia niż przy poglądach zgodnych — a prowadząc polemikę nieczystą, łatwiej uzgodnić jedno, przyswoić sobie inne rzeczy.

Pani zbiór reportaży sądowych przeczytałem z zainteresowaniem, i niejednemu ciekawo dałoby się powiedzieć na ten temat. Cóż — kiedy Pani wołała odrzucić się ostatnim rozdziałem książki od tych krytyków, którzy nie należą do bezwzględnych zwolenników Pani działalności literacko-społecznej. Wicej, ostatni rozdział jest jakiś bardzo — nie — tego... wygląda poprostu na mały szan-taż, w każdym razie zawiera tę intencję. Jakże sobie bowiem wytłumaczyć poniższe słowa Pani, wyjęte z pierwszej stronicy ostatniego rozdziału (str. 215): „Moje reportaże sądowe, mimo podobne dowody uznania, jakie mnie za to spotykały, wywołały zgorzchnienie skrzywienie kwinty warg i wysokie niezadowolone wytworzyły mózgowi naszych niedziwnych i obesznietych krytyków”.

To zdanie samo nie byłoby jeszcze niczym strasznym: pewnym stwierdzeniem i wykładaniem kiegoś humoru. Ale dalszy ciąg, który tak wygląda: „Trudno, muszę się bronić, ale nie argumentami, bo te jeszcze u nas nikogo nie przekonały (przesada, proszę Pani!) ale cudzym auty”.

\*) Irena Krzywicka: Sąd Idzie. Z przedmowa Michałowa Etingera. Rój. 1935. Warszawa, str. 220.

### NAUCZ CZYTAĆ ANALFABETĘ

Pod tem hasłem zrzeszenia społeczne organizują Miesiące walki z analfabetyzmem. Wskazówki w Polskiej Macierzy Szkolnej, Warszawa, Krakowskie Przedmieście nr. 7.

torytetem, i to takim, że do reszty zmartwiejcie, moi Panowie” (str. 215) i wali Pani nazwisko Gide’a. Wice co? Wice, że pan Gide upra-

## Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACJI KSIĘGARSKICH

BONNIERES De L.: Wstań! Chodź. Ładne kartki z dzieł łask Marji w Loues. Tum. M. Pruszyńska. 8° str. 271. Kraków 1934. Wyd. Ks. Jez. Zl. 2.20.

BOUKOŁOWSKA E. i KOTARBIŃSKI M.: Ćwiczenia z zakresu geografii i przyrody. Cz. I z 16 rys. 8° str. 96. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zl. 1.90.

COURTHS-MAHLER J.: Zbrodnia w zamku Treuenfels (Griseldis). Powieść. Przekład Eug. Solskiej. 8° str. 253. Warszawa 1934. S. Cukrowski. Zl. 6.00.

DEOTYMA: Paniąka z okienka. Starodawny romansik. Wyd. IV. Okładka i rysunki A. Gawińskiego. 8° str. 254. Warszawa 1935. Dom Książki Polskiej. Zl. 3.80.

HEDEMANN O.: Dzisiaj i Druja. Magdeburkie miasta z planem. 8° str. 486. Wilno 1934. Księg. Św. Wojeicha. Zl. 8.50.

KANROWNA M.: Leśne czary. Z rye. 8° str. 80. Warszawa 1934. M. Arct. Zl. 0.90.

LANGROD J. S.: 3 lata samorządu Krakowa 1931 — 1933, na tle teorii prawa administracyjnego. Fakty i konkluzje. 8° str. 98. Kraków 1934. S. A. Krzyżanowski. Zl. 1.50.

MAŁECKI M.: Dwie gwary macedońskie. Suche i Wywka w Soluńskim. Cz. I, teksty. 8° XV str. 90. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zl. 4.00.

POHOWSKA H. i WYSZNACKA M.: Śladami ojców. Czytanka historyczna. Cz. I, II. 8° str. 48, 59. Warszawa 1934. M. Arct. Zl. 0.80.

SOKOLICZ A.: Cysarskie cienie. Powieść społeczna z lat przełomowych 1863 — 69. 8° str. 392. Warszawa 1935 „Rój”. Zl. 8.00.

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

Wice co? Wice, że pan Gide upra-

## Podróżuj samolotem